

NOWA KONFEDERACJA nr 24 (36)/2014

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

12–18 czerwca

cena: 0 zł



WIELKA GRA

**BĘDZIEMY PIONKIEM
CZY PODMIOTEM?**

W numerze:

Czy umiemy rozegrać Amerykę?

Jacek Bartosiak 3

Wuj Sam ostro gazuje

Michał Kuź..... 8

Podzwonne dla atlantycyzmu

Piotr Woyke 11

Ministerstwa do spraw gadżetów

Krzysztof Wołodźko..... 15

Złoty strzał od EBC

Krzysztof Rybiński..... 17

Polska gospodarka łaknie kapitału

Z dr. Cezarym Mechem rozmawia Stefan Sękowski 19

Czy umiemy rozegrać Amerykę?



JACEK BARTOSIAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Waszyngton chce uczynić z Polski swoją warownię odstrasżającą Rosję – i nic za to nie płacić ani nic nie dać w zamian. Nie będziemy mogli nawet samodzielnie zarządzać naszą najlepszą kupioną bronią.

Kryzys ukraiński obnażył interesy najważniejszych graczy geopolitycznych w Europie Środkowo-Wschodniej: Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Rosji. Pomiędzy nimi lawirować musi Polska. Wyzyskanie sprzeczności między nimi otwiera przed nami największe od lat szanse na wzmocnienie naszej pozycji w tej części kontynentu.

Odetchnęliśmy

W pierwszej fazie ukraińskiego kryzysu sytuacja wydawała się kształtować dla nas fatalnie. Podczas gdy bezkarna agresja Rosji nie napotykała skutecznego oporu ze strony Kijowa, Zachód ograniczał się do czczych pohukiwań. Niepokoiła zwłaszcza de facto przychylna Moskwie postawa Niemiec. W takim układzie mieliśmy prawo się obawiać, że Kijów zostanie wkrótce rzucony na kolana, a następne w kolejce będą kraje bałtyckie i my.

Dziś, szczęśliwie, czarny scenariusz wyraźnie się oddalił. Kreml ma coraz większe trudności z destabilizacją wschod-

niej Ukrainy. Marzenia o jej pełnym podporządkowaniu może więc raczej włożyć między bajki. USA dają zaś imperialnym ambicjom Putina coraz wyraźniejszy odpór.

Niedawna wizyta Baracka Obamy w Warszawie potwierdziła, że Waszyngton nie traktuje już tego, co Rosja robi na Ukrainie, jako poważnego zagrożenia dla ładu międzynarodowego, którego Ameryka jest głównym architektem, gwarantem i beneficjentem. Gdyby było inaczej, lokator Białego Domu położyłby na stole dużo konkretniejszą ofertę. A tak, mógł ograniczyć się do podtrzymania gwarancji bezpieczeństwa, miłych słów o polskich zasługach historycznych i symbolicznego wsparcia (czym jest miliard dolarów w skali regionu?). Uznał widocznie, że na ustalenie konkretów przyjdzie jeszcze czas.

Coś za nic

Miałem okazję uczestniczyć w poprzedzającym wizytę Obamy spotkaniu ekspercko-politycznym. Amerykańskie obietnice były tam równie mgliste, ale już ame-

rykańskie oczekiwania – dużo bardziej konkretne. W zamian za odnowione gwarancje bezpieczeństwa USA domagają się kupna amerykańskiej broni i amerykańskich technologii wojskowych oraz dostępu do polskich złóż surowców i technologii przyszłości. Dokładnie tak jak wstępnie obiecała uczynić Rumunia w ostatnich tygodniach, co było na rzeczonym spotkaniu przez stronę amerykańską mocno komplementowane.

Płynie stąd jasny wniosek: Waszyngton chce uczynić z Polski swoją warownię odstrasżającą, a w razie potrzeby powstrzymującą Rosję – i nic za to nie płacić. Co więcej, nie chce nam dać samodzielności nawet w zarządzaniu naszą najlepszą kupioną bronią: po wyposażeniu w supernowoczesne rakiety manewrujące typu JSSM nasze myśliwce F16 najwyraźniej miałyby podlegać operacyjnej kontroli z... Waszyngtonu.

Gdyby Kreml śmieiej poczynił sobie na Ukrainie, a polskie elity nie przyzwyczaiły Amerykanów do uległego i bezkrytycznego zachwyty gości z oceanu, oferta dla nas musiałaby być znacznie hojniejsza. Bo w istocie to Ameryka bardziej potrzebuje dziś nas niż my jej.

Żeby to zrozumieć, musimy zagłębić się nieco w globalny kontekst geopolityczny.

Jedno oko na Heartland...

Dla Stanów Zjednoczonych podstawowym celem jest utrzymanie dominacji światowej uzyskanej po II wojnie światowej i potwierdzonej po zwycięskim zakończeniu zimnej wojny. Temu służy „wielka strategia”, której od czasu I wojny światowej są posłuszne wszystkie, bez wyjątku, administracje amerykańskie. Sprowadza się ona do następujących wytycznych: po

pierwsze, Ameryka jest potęgą morską oddzieloną od istotnych i potencjalnych konkurentów bezmiarem Pacyfiku i Atlantyku. Jej bogactwo i siła opiera się na handlu morskim, którego zasad i bezpieczeństwa strzeże US Navy. To pozwala architektowi porządku światowego kontrolować przebieg globalizacji, promować korzystne dla siebie zasady handlu światowego, utrzymywać rolę dolara w rozliczeniach międzynarodowych oraz podtrzymywać korzystne dla siebie sojusze i systemy kolektywnej współpracy, w których USA są zawsze największym udziałowcem.

**USA bardziej potrzebują
dziś nas niż my ich:
uczynienie z Polski
amerykańskiej „warowni”
przy „granicy” z Rosją to dla
Waszyngtonu dobry sposób
na niedopuszczenie do
odrodzenia się wielkiej Rosji**

Po drugie, jedynym obszarem, gdzie może się narodzić konkurent dla amerykańskiej dominacji, jest Eurazja z jej ogromem przestrzeni, populacją oraz zasobami naturalnymi. Z punktu widzenia geopolitycznego reszta obszaru globu to mało istotne wyspy. Podstawowym zadaniem przywódców Stanów Zjednoczonych jest nie dopuścić, by w Eurazji jeden podmiot zdominował jej zasoby, co pozwoliłoby mu gospodarczo lub militarnie pokonać USA. Powyższa obawa zadecydowała o przystąpieniu Stanów do I oraz II wojny

światowej w celu powstrzymania perspektywy hegemonii Niemiec oraz do zimnej wojny w celu powstrzymania Związku Sowieckiego.

Aby osiągnąć ten cel, Stany Zjednoczone muszą (poza kontrolą mórz i oceanów otaczających Eurazję) mieć pod kontrolą wyspy-przyczółki decydujące o równowadze sił w Azji (Japonię) i Europie (Wielką Brytanię) oraz politycznie podporządkować lub przynajmniej przyjaźnie kontrolować pas krajów przylegający do wód okalających Eurazję, zwany w geopolityce Rimlandem. Tak się składa, że wszystkie bez wyjątku państwa Rimlandu da się podporządkować gospodarczo i militarnie tzw. projekcją siły morskiej i w ten sposób narzucić im swoją wolę polityczną. Tak de facto pokonano Niemcy w czasie I wojny światowej oraz istotnie osłabiono w czasie II wojny. Hitler zaś poszukiwał zasobów na wschodzie w głębi Eurazji właśnie dlatego, że nie mógł sprostać potężnej morskiej aliantów.

Dalej w głębi Eurazji znajduje się geopolityczny Heartland, „serce świata” wedle określenia Halforda Mackindera. Zamknięty w swojej kontynentalnej przestrzeni z jednej strony jest odporny na oddziaływanie potęgi morskiej, ale z drugiej w istotny sposób jest odseparowany od zawsze zyskowniejszego handlu morskiego. To wpływa na immanentnie mniejsze prosperity Heartlandu oraz większe koszty związane z obrotem kapitałem, co ma określone konsekwencje dla aktywności ludzkiej, migracji, kultury itp.

Prymarną cechą geopolityczną Eurazji jest wieczne napięcie pomiędzy Heartlandem a Rimlandem, wynikające z samej geografii oraz natury pracy ludzkiej oraz pracy kapitału. Czasami w to napięcie i zawsze dla własnego interesu interweniują Stany Zjednoczone zainteresowane

utrzymaniem korzystnej dla siebie równowagi w Eurazji. Natomiast pomiędzy zamkniętym kontynentalnie Heartlandem a otwartym na szerokie wody i żywszym gospodarczo Rimlandem leżą państwa buforowe, upchnięte w uskoku geopolitycznym pomiędzy potężnymi siłami, niejako w korytarzu. Państwa buforowe to przede wszystkim położona na Nizinie Środkowoeuropejskiej Polska, lecz także Ukraina bezpośrednio stanowiąca, jak mówił Mackinder, „bramę do Heartlandu”.

Kontrola nad tymi obszarami ma kluczowe znaczenie dla równowagi sił w Eurazji, choć inne znaczenie dla USA, inne dla Niemiec, a jeszcze inne dla Rosji. Tu interesy są oczywiście rozbieżne. Własne interesy mają też same Ukraina i Polska, ale interesy ich miałyby znaczenie tylko wówczas, jeśli waga geopolityczna tych państw zmusiłaby potężniejsze Niemcy, Rosję i Stany do brania ich pod uwagę. W innym wypadku państwa te są jedynie przedmiotem gry silniejszych i, co warto podkreślić (choć polskie uszy nie lubią tego słuchać), stanowią często przeszkodę do stabilizacji systemu międzynarodowego opartego o „poszukiwaną” w międzynarodowych napięciach i w ich wyniku znajduwaną równowagę. Stąd wobec państw opisanej powyżej „strefy zgniotu” zdarzały się pojawiać epitety w rodzaju „bękartów wersalskich” czy „państw sezonowych”.

...a drugie na Pacyfik

Pomimo wojny na Ukrainie Amerykanie wciąż dokonują reorientacji na Pacyfik. I trudno się dziwić. Tam zadecyduje się przyszłość dominacji USA w XXI w. Rosja jest w Waszyngtonie postrzegana jako kraj niestanowiący zagrożenia dla dominacji Stanów. Zresztą kwestia ukraińska jest częściowo kwestią wynikową zwrotu ku Azji.

Wzmocnieni reformami Putina i modernizacją swoich sił zbrojnych Rosjanie usiłowali wejść w próżnię (tzw. próżnię bezpieczeństwa) powstałą po tym, jak Amerykanie zaczęli politycznie, a przede wszystkim wojskowo wycofywać się z Europy w kierunku Pacyfiku. I to w sytuacji znacznego osłabienia sił zbrojnych po dwóch ciężkich wojnach lądowych na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w obliczu największych redukcji w Pentagonie od zakończenia II wojny światowej i grożącej sekwestracji (czyli automatycznych cięć równo po wszystkich rodzajach wydatków).

Teraz Rosja najwyraźniej na Ukrainie ugrzęzła. W perspektywie średnio- i długoterminowej nadal stanowi jednak zagrożenie, zwłaszcza jeśli w sojuszu z Niemcami zdoła podporządkować sobie lub zmarginalizować „państwa buforowe”. W interesie USA jest Kreml na tyle silny, aby stabilizował obszar Heartlandu, zapobiegał proliferacji broni atomowej i nadawał się na koalicjanta przeciwko Chinom, ale zarazem na tyle słaby, aby nie rościł sobie pretensji hegemonicznych (jak za zimnej wojny).

Właśnie dlatego USA bardziej potrzebują dziś nas niż my ich: uczynienie z Polski amerykańskiej „warowni” przy „granicy” z Rosją to dla Waszyngtonu dobry sposób na niedopuszczenie do odrodzenia się wielkiej Rosji, bez brudzenia sobie rąk. Amerykanie nie chcą i nie bardzo mają jak wracać militarnie do Europy. Wygodniej jest więc uspokajać Moskwę rękami sojuszników.

Dla nas natomiast obecna sytuacja nie jest całkiem niewygodna. Rozwój wypadków na Ukrainie pokazuje, że trudno traktować Rosję jako egzystencjalne zagrożenie w krótkim terminie. Niemcy – mogą drenować nas z kapitału i siły ro-

boczej, ale militarnie dziś się nie liczą i są zbyt obciążone kryzysem Unii Europejskiej, aby i z ich strony wyglądać egzystencjalnego niebezpieczeństwa.

Licytacja o Polskę

Wiele wskazuje więc na to, że mamy czas – kilka do kilkunastu lat – na względnie spokojny rozwój potencjału obronnego. Tymczasem Amerykanie próbują nas różnymi kanałami przekonać, że musimy na gwałt kupować – oczywiście od nich – sprzęt i technologie wojskowe. Ich zdaniem nie mamy bowiem czasu na ich produkcję we własnym zakresie. To krótkoterminowa sprzeczność interesów polskich i amerykańskich.

Ale jest również długofalowa. W naszym interesie leży upadek odwiecznego przeciwnika, jakim jest Rosja. Oraz osiągnięcie samodzielności strategicznej, czyli takiego potencjału, aby odgrywać niezależną i podmiotową rolę polityczną. Kluczowym elementem jest tu oczywiście armia: nowoczesna, zdolna do efektywnej obrony i projekcji siły, w której za wszystkie sznurki pociąga Warszawa.

Natomiast Ameryka nie chce upadku Rosji, a jedynie powstrzymania jej nadmiernych ambicji. Nie chce nam dać także samodzielności strategicznej, bo nowy, silny gracz w Europie Środkowej może w nieznanym sposób zmienić eurazjatycką równowagę sił (np. nadmiernie osłabiając Rosję). Generalnie kurs Waszyngtonu wobec Polski to utrzymanie status quo, gdy chodzi o naszą przedmiotową pozycję międzynarodową. Stąd jeśli mamy być nieco – na potrzeby okiełznania niesforowanego Putina – dozbrojeni, to tak, abyśmy to my ponieśli tego największe koszty, przysparzając zarazem istotnych zysków Ameryce.

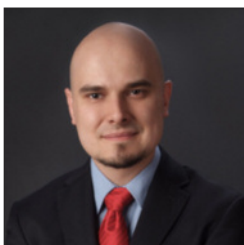
Nasza sytuacja jest jednak obecnie zbyt korzystna, aby się zgadzać na takie postawienie sprawy także z innego powodu. Oprócz Waszyngtonu, również Berlin i Pekin z różnych powodów widzą w nas bowiem atrakcyjnego juniorpartnera, nie będąc dla nas zarazem poważnym krótkoterminowym zagrożeniem.

Stwarza to możliwość rozgrywania tych państw tak, aby zmaksymalizować korzyści dla Polski. Teoretycznie wyob-

rażalna jest nowa „licytacja w sprawie polskiej”, w której USA, Niemcy i Chiny rywalizują o atrakcyjne dla nas inwestycje i porozumienia, a my, podbijając stawkę, ze wszystkich stron czerpiemy profity, budując stopniowo swoją podmiotowość.

Wymaga to bardzo zręcznej i zarazem twardej polityki oraz budowania samodzielnych zdolności wojskowych. Tylko czy w naszym kraju są elity zdolne do jej prowadzenia?

Wuj Sam ostro gazuje



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

W kwestii energetyki interesy USA nie są w pełni zbieżne z naszymi. Już teraz toczy się więc bardzo brutalna gra, w której musimy twardo walczyć o swoje nie tylko z Rosją.

Jednym z ciekawszych momentów wizyty Baracka Obamy w Warszawie było stwierdzenie, że USA zamierzają podjąć „kroki w celu dywersyfikacji źródeł energii w Europie”. Deklaracja, jak to u polityków, była okrągła i mało wyrażna. Kryją się jednak za nią konkretne interesy Stanów Zjednoczonych, które dzięki łupkom planują stać się poważnym eksporterem błękitnego paliwa.

Oczywiście nad Wisłą wielu kultywuje wciąż wizję dobrego „wujka Sama”, który nauczy nas, jak wydobywać gaz z łupków, obroni nas przed złym rosyjskim niedźwiedziem, a potem poleci sobie do domu, pozostawiając w Polsce gazowe eldorado. Warto sobie jednak uświadomić, że interesy USA nie są w tym względzie w pełni zbieżne z naszymi. Warto też zauważyć, że już teraz o polską energetykę toczy się bardzo brutalna gra, w której musimy twardo walczyć o swoje nie tylko z Rosją.

Znikające łupki

W marcu 2012 r. Państwowy Instytut Geologiczny ocenił, że możemy mieć w łupkach nawet ponad 1,9 bln m³ gazu, zaspokoiliby to nasze obecne zapotrzebowanie na ponad sto lat. W swoich szacunkach PIG oparł się na estymacjach amerykańskiej rządowej służby geologicznej US Geological Survey (USGS). Nieco wcześniej w oparciu o te same badania amerykańska rządowa Agencja Informacji Energetycznej (EIA) ogłosiła bowiem, że w polskich łupkach może być nawet 22 bln m³ gazu, z czego zasoby dające się wydobyć w opłacalny sposób przy zastosowaniu znanych dziś technologii wynoszą 5,3 bln m³.

Pomimo rozbieżności gazu miało więc być dużo, bardzo dużo. Już w lipcu 2012 r. ta sama US Geological Survey ogłosiła jednak, że pomyliła się o cały rząd wielkości, i w Polsce jest tylko 38,1 mld m³ dającego się wydobyć gazu, czyli tyle, aby

pokryć polskie potrzeby na blisko 2,5 roku. Zdaniem prof. Andrzeja Kraszewskiego i wielu innych polskich ekspertów tak dużych rozbieżności nie da się tłumaczyć inaczej niż tym, że „informacje dotyczące zasobów gazu łupkowego podlegają marketingowi politycznemu i publikuje się takie dane, które mają przynieść określony efekt”.

O jaki efekt chodzi? Cóż, chcąc coś kupić, np. polskie złoża, warto najpierw zaniżyć ich wartość. A chcąc coś sprzedawać, np. swój tworzący miejsca pracy w USA gaz, nie warto obniżać ceny produktu na globalnych rynkach. Stany Zjednoczone już teraz są zaś największym na świecie producentem błękitnego paliwa i jego ósmym eksporterem. Od kilku lat USA chcą zaś agresywnie zwiększyć swój udział w światowym rynku paliw. Już teraz powstaje sześć nowoczesnych gazoportów, które skroplone paliwo miałyby wysyłać na cały świat.

Za, a nawet przeciw

Kiedy dwa lata temu z wydobycia łupków w Polsce wycofał się amerykański Exxon, USA uprawiały jeszcze rosyjski „reset”. Mogły więc zdecydować względy polityczne. Jak dość przytomnie zauważył Waldemar Pawlak, koncern miał poważne interesy w Federacji Rosyjskiej i krótko przed wycofaniem się z Polski zawarł strategiczny sojusz z Rostnieftem.

Zajęcie Krymu zmieniło jednak znacząco klimat wokół łupków. Już w kwietniu tego roku Chevron rozpoczął więc kolejną turę poszukiwań gazu łupkowego w Rumunii. Przedtem zaś przy wsparciu rządu USA lobbował w Bukareszcie za zniesieniem moratorium na wydobycie. Co też naturalnie szybko uczyniono.

Chevron pół roku temu podpisał zresztą memorandum w sprawie współpracy również z polskim PGNiG. W spółkach prowadzących poszukiwania gazu w Polsce widać też coraz większy wpływ mieszanego kapitału zagranicznego. George Soros ma np. aktywa aż 1/3 firm, które posiadają obecnie koncesję na wydobycie.

Po wizycie prezydenta Obamy o wydobyciu naszych łupków przy użyciu amerykańskich technologii jakoś się nie słyszy. Słyszysz się za to, że już za trzy lata Polska może sprowadzać skroplony gaz z USA

Podatek od wydobycia wciąż zaś wynosi w Polsce tylko 1 proc., (20 proc. w USA). Więc inwestycje w polskie łupki są niezwykle kuszące pomimo sprzecznych sygnałów dotyczących dostępności złóż i ich jakości. Rząd wprowadzie pracuje nad zmianami opodatkowania eksploatacji polskich złóż, nie wiadomo jednak, kiedy miałyby one wejść w życie.

Na razie zaś zarówno dla Polski, jak i dla Rumunii podstawowe pytanie brzmi: czy Chevron chce faktycznie nasze złoża eksploatować z korzyścią dla naszych gospodarstw, czy tylko je kontrolować z korzyścią dla siebie? I czy niedojdzie do ponownych dramatycznych zmian strategii na tle politycznym? Stany Zjednoczone

są wszak obecnie w sytuacji podobnej do Rosji, są producentem. Co gorsza, nie ma gwarancji, że, jak sugeruje Jacek Bartosiak, na linii Waszyngton–Kreml nie dojdzie do kolejnego, wymierzonego w Chiny resetu. Swoistej „nowej Jałty”.

Ciekawe jest np. to, że po wizycie prezydenta Obamy o wydobywaniu naszych łupków przy użyciu amerykańskich technologii jakoś się nie słyszy. Słyszyc się za to, że już za trzy lata Polska może wprowadzić skroplony gaz z USA.

Okazuje się bowiem, że eksploatacja amerykańskich i kanadyjskich łupków jest na tyle korzystna, że nawet przy ogromnych kosztach transportu może on nadal mieć cenę konkurencyjną w stosunku do tej, którą oferują dziś Rosjanie. To naturalnie może zaś wymusić na Rosji obniżkę cen.

Problem Polski polega jednak na tym, że wojny cenowe pomiędzy USA a Rosją mogą dla nas mieć tylko krótkofalową korzyść. Naszym celem strategicznym jest zaś posiadanie na terenie naszego kraju infrastruktury, która pozwoliłaby nam zaspokajać większość naszych potrzeb energetycznych nawet w sytuacji poważnego politycznego lub militarnego konfliktu na Wschodzie. Takim rozwiązaniem zaś nie muszą być zainteresowane ani koncerny rosyjskie, ani amerykańskie.

Nam zaś brakuje kapitału i know-how. Na szczęście poza USA i Rosją w wydobywaniu gazu łupkowego inwestują też inne kraje. Swoją technologię eksploatacji łupków właśnie opracowują np. Chińczycy. Nie staną się oni przy tym raczej eksporterem netto ze względu na niebywałą energochłonność ich gospodarki. A to sprawia, że w przyszłości Chiny mogą być dla Polski ważnym partnerem, jeśli chodzi o transfer technologii.

Niedobre są spółki

Jest naturalne, że eksporter energii zawsze będzie niechętny temu, by zwiększać produkcję w miejscach, w których umocowanie polityczno-prawne reprezentujących jego kapitał koncernów jest słabsze niż w ich mateczniku. Jeśli już zaś będzie wykupował obce złoża, to będzie się starał je wykorzystać tak, aby nie zagrozić swoim strategicznym interesom i nie dzielić się zbyt zyskami z krajami, z którymi owe interesy go nie wiążą.

Nawet współpraca z takimi krajami jak Chiny, które znaczącymi eksporterami nie są, może jednak mieć tylko ograniczony zakres. Świat jest bowiem pełen biednych krajów, w których skorumpowane elity dokonywały latami niekontrolowanej wyprzedaży praw do złóż surowców. Złoża przejmował wtedy często kapitał zagraniczny, a społeczeństwo nie miało z ich eksploatacji żadnych korzyści.

Małe, a bogate w surowce kraje w swojej polityce energetyczno-wydobywczej powinny więc brać przykład z Norwegii. Ten bogaty i społecznie stabilny kraj zrobił bowiem wszystko, aby to sama ludność poprzez sprawnie i transparentnie działające instytucje kontrolowała wydobywanie krajowych bogactw naturalnych.

Norweska ropa jest bowiem w 70 proc. wydobywana przez Statoil. Potężny koncern jest przy tym notowany na giełdzie w Nowym Jorku, a jego akcjonariusze nie narzekają na ogół na niskie dywidendy. Statoil ma też naturalnie profesjonalny zarząd i niezależną radę nadzorczą. Największym udziałowcem zawsze jednak był rząd Norwegii (67 proc.), który o swoje interesy dba poprzez specjalne ministerstwo czuwające nad tym, aby wydobywanie surowców odbywało się z maksymalną korzyścią dla obywateli.

Podzwonne dla atlantycyzmu



PIOTR WOYKE

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Polityka Rosji wobec Ukrainy nie pozostanie naturalnie bez konsekwencji. Nie spotka się jednak również z tak stanowczą reakcją, jak byśmy tego oczekiwali. W stosunkach transatlantycznych coś już się skończyło.

Wizyta Baracka Obamy w Polsce spełniła nadzieje, które pokładały w niej elity rządzące w Waszyngtonie i Warszawie. Zgodnie z oczekiwaniami po stronie polskiej mieliśmy do czynienia z euforycznymi reakcjami – nawet ze strony niektórych środowisk, które nie chciałyby być posądzane o sprzyjanie rządowi. Ekipa Donalda Tuska jest tu niewątpliwie beneficjentem przemówienia na pl. Zamkowym. Mowa prezydenta Stanów Zjednoczonych pewnie nie zapisze się, jak wieścił Jacek Pałasiński, w podręcznikach, niemniej chwytiała za serce, co w przypadku Obamy jest niemalże rutyną.

Mimo to mowa pierwszego obywatela USA spotkała się również z kilkoma reakcjami sceptycznymi, słusznie zwracającymi uwagę na to, jak łatwo przywódcy zza oceanu jest uwieść Polaków okrągłymi słowami. Obie strony (choć „wina” leży tu przede wszystkim po stronie entuzjastów) wydają się jednak przeceniać to wydarzenie i nadto się skupiać na warstwie symbolicznej.

Żadnych marzeń

Obecność przywódcy największego mocarstwa na istotnych dla większości polskich elit obchodach to zawsze pewien sukces, szczególnie przy niełatwych stosunkach pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi w ostatnich latach. Otwarcie obecnych władz, dotychczas uważanych za nieco oziębłe wobec Waszyngtonu, to pozytywny znak. Ponowne ocieplenie i nawet wyłącznie werbalne potwierdzenie w Warszawie bliskich stosunków łączących oba kraje powinno więc cieszyć. Nie ma jednak podstaw, by radykalnie zmieniać ocenę rzeczywistości międzynarodowej. Dzisiejsza „objazdowa” dyplomacja i mobilność sprawiają, że wizyty przywódców mocarstw (szczególnie wśród swoich średnich rangą sojuszników) coraz rzadziej stają się przełomowe i zapamiętywane.

Otrzeźwienie i spojrzenie na udział Obamy w obchodach 4 czerwca nie zwalnia jednak od spojrzenia na całą sprawę w szerszym kontekście. Ostatni raz mie-

liśmy do czynienia z takim gwałtownym wzlotem przyjaźni polsko-amerykańskiej (z naciskiem na człon „polsko-”) na początku 2003 r., gdy Stany Zjednoczone formowały koalicję wspierającą plan inwazji na Irak. Była to sprawa zupełnie innego rzędu, bardziej kontrowersyjna niż rosyjska destabilizacja Ukrainy.

Od tego czasu minęło jednak jedenaście lat, podczas których oblicze zarówno Europy, jak i Ameryki bardzo się zmieniło. Rysa, która się jednak wówczas pojawiła na wyniesionej z czasów zimnej wojny solidarności euroatlantyckiej, nie zniknęła. Ówczesne podziały okazują się biec po bardzo podobnych liniach co dzisiejsze. To zła wiadomość dla Polski.

Iracka lekcja

Na podział pomiędzy „starą Europą” a USA na tle konfliktu irackiego można bowiem spojrzeć jak na naturalną reakcję na okres hegemonii Amerykanów w wolnym świecie po 1945 r. Tradycyjnie zaznaczająca swoją autonomiczność Francja napotkała zainteresowanych partnerów w zjednoczonych i reformujących się Niemczech oraz szukającej porozumienia z Europą Rosją. Tak najpewniej chciałyby widzieć ten moment francuskie i niemieckie elity, jako chwilę, w której równi sobie, budujący nowe więzy partnerzy przeciwstawili się nazbyt panoszącemu się mocarstwu.

Z wrażliwej na rosyjskie knowania perspektywy Warszawy widzimy jednak, że najwięcej korzyści ten kwitnący wówczas romans z Putinem przyniósł samej Moskwie. Warto przy tym pamiętać, jak niepopularna była wśród zachodnich społeczeństw idea najazdu na Irak – nawet w relatywnie proamerykańskich Włoszech doszło do rekordowej demonstracji an-

tywojennej, gdy ulicami Rzymu przemaszerowały prawie trzy miliony ludzi.

W Niemczech szykowano bolesną reformę uzdrawiającą gospodarkę. Okoliczności były wygodne, aby akurat w tym momencie ujawnić narastającą już od dłuższego czasu frustrację Paryża czy Berlina zastanym układem sił. Oba państwa handlowały już wówczas na dużą skalę z reżimami w Rosji czy w Chinach i nie w smak było im wszczynanie wojny pod hasłami głoszonymi przez amerykańskich neokonserwatystów.

Pomimo naruszenia przez Kreml granic dużego państwa wyznaczającego linię pomiędzy strefami wpływów UE i Rosji nie pojawił się żaden poważny impuls ożywiający ideę atlantycyzmu

Polska postanowiła wtedy, w przeddzień wstąpienia do Unii Europejskiej, twardo stanąć przy Stanach Zjednoczonych. Nie do końca potrafiliśmy zrozumieć opór wielu członków UE, nieliczne głosy protestu miały raczej charakter pacyfistyczny lub ściśle antyamerykański („będziemy koniem trojańskim Amerykanów w UE” itp.). Aroganckie pouczenia Chiraca o straconej okazji, aby siedzieć cicho, i pochwalne słowa Donalda Rumsfelda o „nowej” i „starej Europie” wzmacniały w Polakach przekonanie, że jeżeli chodzi

o sprawy bezpieczeństwa (kluczowe dla państwa o tak przegranej historii ostatnich 300 lat), rozmawiać na poważnie można z Waszyngtonem.

Oferta offsetowa, wizja stania się kolejnym państwem po Wielkiej Brytanii posiadającym „specjalne stosunki” z Waszyngtonem była bardzo kusząca, szczególnie na tle mozolnych negocjacji w Brukseli. Obraz świata, w którym pomocny i odważny Mars rezyduje za oceanem, zaś przebiegła i tchórzliwa Wenus na zachód od naszych granic, utrwalił się wówczas wśród Polaków, a przede wszystkim dużej części elit.

Epizod krymski

Wielu Polaków oczekiwało, że zorganizowana destabilizacja państwa ukraińskiego w wykonaniu Rosji i aneksja Półwyspu Krymskiego dokona pewnego „odczarowania” wśród zachodnioeuropejskich elit. Wieszczyliśmy powrót amerykańskiego wzroku znad Dalekiego Wschodu nad Europę, a szczególnie jej pogranicze. Wciąż oczekiwana jest rewitalizacja Sojuszu Północnoatlantyckiego z pakietem znaczących decyzji, które mają zapaść na wrześnieowym szczycie w Walii.

Te ogromne oczekiwania wymagają również odpowiedniej symboliki i doniosłości, co doskonale rozumiał prezydent Obama, przemawiając na pl. Zamkowym. Pośród zachwyty nad jego efektowną obecnością umyka nam jednak przerażający fakt. Pomimo naruszenia przez Kreml granic dużego państwa wyznaczającego linię pomiędzy strefami wpływów UE i Rosji nie pojawił się żaden poważny impuls ożywiający ideę atlantycyzmu.

Pomimo setek debat eksperckich, tysięcy głosów nawołujących Europejczyków do otrzeźwienia, nie doszło do wypracowania

przełomowych wspólnych działań czy nawet stanowisk w sprawach związanych z bezpieczeństwem i współpracą polityczną. Tendencje do prowadzenia autonomicznej (również względem Unii), stawiającej na korzyści gospodarcze polityki zagranicznej są wśród wielu państw europejskich, na czele z Niemcami, nadal bardzo silne.

Efektywne tworzenie więzów pomiędzy państwami Starego Kontynentu a Stanami Zjednoczonymi przebiega znacznie sprawniej poprzez negocjacje na temat umowy TTIP (o utworzeniu strefy wolnego handlu pomiędzy USA a Unią Europejską). Najwięksi optymiści nie oczekują w najbliższym czasie podniesienia budżetów obronnych państw europejskich, znaczącego zwiększenia kooperacji w zakresie NATO, jak też oferty poważnej pomocy finansowej ze strony Stanów dla modernizacji wojsk sojuszników w Europie Środkowo-Wschodniej.

Polityka Rosji wobec Ukrainy nie zostanie bez konsekwencji i wbrew pozorom nie będziemy mieli już do czynienia z „business as usual”. Nie spotka się jednak również z tak stanowczą reakcją, jak byśmy tego w Warszawie oczekiwali. Aneksja Krymu wzmacnia państwa zachodnioeuropejskie w przekonaniu, że Moskwa jest coraz większym problemem, jednak ich elity nie są zdolne do podjęcia wspólnych inicjatyw o odpowiedniej skali.

Prowadzi to do patowej sytuacji, w której właściwie brak pomysłu na to, co dalej. Deklaracje ministra spraw zagranicznych Niemiec o poprawiającym się zachowaniu Rosjan należy raczej potraktować jako klasyczną dla dyplomacji dużych państw chęć bieżącego łagodzenia sytuacji niż autentyczną wiarę w dobrą wolę Putina. Unia Europejska stoi przed kluczowymi dla swojej przyszłości decyz-

jami o dalszym kształcie i reformach traktatowych, co w naturalny sposób ogranicza jej i tak niewielkie możliwości wspólnego reagowania w polityce zewnętrznej.

Patowa sytuacja powoduje, że w tych zupełnie odmiennych warunkach i znacznie poważniejszym kryzysie odtwarza się podział Zachodu znany z 2003 r. Wciąż dominujące mocarstwo pozwala sobie na nieco ostrzejsze reakcje i konsoliduje wokół siebie bardziej wrażliwych na rosyjską brutalność partnerów, spotykając się jednocześnie z tonującymi reakcjami starszych sojuszników.

Tym razem sprawy układają się jednak mniej pomyślnie dla Rzeczypospolitej, i nie chodzi tu tylko o to, że problem z integralnością terytorialną ma jeden z naszych najważniejszych sąsiadów. Po pierwsze, państwo, z którym razem mówimy głośno o zagrożeniach, jest znacznie mniej skłonne do bezpośredniej interwencji i intensywnie szuka metody, aby jak najmniejszym kosztem symbolicznie podkreślić swoje zaangażowanie w sprawy naszego regionu. Po drugie, z państwami o bardziej zachowawczej strategii wspóltworzymy teraz jeden blok polityczno-gospodarczy o wciąż zacieśniającej nas strukturze.

Co dalej?

W każdej sytuacji należy szukać jakichś korzyści i nie inaczej jest tym razem. Biorąc pod uwagę, w jakim kierunku dąży integracja europejska, z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że nie-

długo możemy się znaleźć w sytuacji, w której zacieśniające się więzi gospodarcze zaczną mieć również przemożny wpływ na naszą politykę zewnętrzną. Wchodzimy w bezprecedensową z punktu widzenia historii Polski sytuację, w której będziemy musieli być stale bardzo czujni i prowadzić politykę w ramach skomplikowanej i szybko zmieniającej swoje oblicze organizacji, jaką jest UE.

Wpływanie na tak niepewne wody wymaga mocnych kotwic, które ułatwiłyby prowadzenie na tyle podmiotowej polityki, na ile to możliwe. Nie mogąc z oczywistych względów samemu angażować się w ożywienie klasycznie rozumianej idei atlantyckiej, Polsce pozostaje aktywne ożywianie stosunków dwustronnych z Waszyngtonem, przynajmniej przy aktualnym, niezbyt korzystnym układzie politycznym w regionie.

Tradycyjni partnerzy z Europy Środkowej przyjęli tym razem postawę pasywną na wzór państw „starej Europy”, co napawa niepokojem, niemniej sprawia, że mniejsza liczba kandydatów ustawia się do dzielenia potencjalnych tortów serwowanych przez Amerykanów.

Wzmocnione stosunki bilateralne z Waszyngtonem mogą być dla Polski jedną ze wspomnianych kotwic. Paradoksalnie, w tej trudnej sytuacji, gdy atlantycyzm dalej śpi snem sprawiedliwego, pojawia się moment, w którym możemy w stosunkach z USA zagrać o więcej niż okresowy wzrost ilości goszczonych wojsk i mgliste obietnice miliarda oraz poruszające słowa pod kolumną Zygmunta.

Ministerstwa do spraw gadżetów



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Poszczególne resorty wydały na marketing w tej kadencji od 160 tys. do 42 mln zł. Kupowano cukierki, breloczki, kalendarze. Opłacano niedziałające strony WWW oraz niepotrzebne promocje.

Opublikowane przez „Dziennik Gazetę Prawną” informacje dotyczące wydatków na marketing poszczególnych ministerstw potwierdzają, że struktury administracyjne wciąż uważają, że lekką ręką można wydawać relatywnie duże publiczne pieniądze na cele absolutnie dziesięciorderne lub wręcz... niezrealizowane.

Marketingowe marnotrawstwo „ministerstw do spraw gadżetów” pokazuje przy okazji, że daniny publiczne i tak coraz częściej transferowane są do prywatnych podmiotów gospodarczych. I to nie zawsze w sensowny sposób. To jeszcze jedna wariacja na temat znanego hasła: prywatyzowanie zysków, upublicznianie strat. Poza tym analizy dziennikarzy wskazały, iż nierzadko wciąż te same podmioty są honorowane urzędniczymi zamówieniami. Niestety, brak informacji dziennikarskiej o tym, czy to skutek profesjonalizmu firm, czy czynników „merytorycznych inaczej”.

Poszczególne resorty wydały na marketing w tej kadencji od 160 tys. do 42 mln zł. W branży wiadomo, że kontrakty

rządowe są z reguły bardzo intratne finansowo: oznacza to, że urzędnicy płacą agencjom reklamowym więcej, niż oferują podmioty rynkowe. Ta finansowa wspa- niałomyślność na koszt podatnika to zdecydowanie kiepski pomysł, gdy uświadomimy sobie, że i tak – w rzeczywistości – wyższe podatki płacą w Polsce ludzie mniej zarabiający. Nazywamy to degressywnym systemem podatkowym.

Okazuje się przy tym, że choć ministerstwa dysponują np. własnymi biurami prasowymi, ich rola jest bardzo ograniczona i/lub są nieefektywne, skoro interesów resortów pilnują prywatne firmy PR. I tak Ministerstwo Edukacji Narodowej i Ministerstwo Kultury zapłaciły po kilkadziesiąt tysięcy agencjom PR w ramach „ocieplania wizerunku”. MEN poprawiało wizerunek po „Cyfrowej szkole”, a MKiDN płaciło piarowcom za koordynację spotkań przedstawicieli ministerstwa z dziennikarzami. Ale tu można się także zastanawiać, czy nie jest to specyficzna forma outsourcingu: taniej jest wynająć zewnętrznych profesjonalistów, niż bu-

dować własne struktury specjalistów do marketingu w obrębie biurokracji.

Najbardziej jednak uderzają podane przez „DGP” informacje, które wprost wskazują na marnotrawstwo środków. Ten wątek niestety umknął w wielu medialnych skrótach materiału źródłowego. Okazuje się, że trzy lata temu resort nauki i szkolnictwa wyższego wydał 857 tys. zł na internetową galerię: www.projekty.nauka.gov.pl. Strona nie działa, a komunikat, który o tym informuje, brzmi cokolwiek groteskowo: „Błąd 503, strona tymczasowo niedostępna. Z powodu zbyt dużego obciążenia serwera strona jest chwilowo niedostępna”.

Z kolei Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji także trzy lata temu wydało np. 10 tys. zł na film promocyjny dotyczący aplikacji służącej prowadzeniu przez samorządy ewidencji. Tyle że aplikacja ta trafiła ostatecznie do lamusa już w fazie projektowania i dziś trwają prace nad innym systemem. Powie ktoś, że wyrzuconych 10 tys. zł nie rozłoży państwa polskiego. Cóż, ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka – tyle że tu kontekst nie odsyła bynajmniej do gospodarskiej oszczędności.

Dodajmy do tego gadżetomanię. Ministerstwo Gospodarki w 2013 r. wydało w 2013 r. 570 tys. zł na tzw. smyczki, kalendarze czy USB, stymulując w ten sposób rozwój gospodarczy. Choć istnieje obawa, że podobnie jak w przypadku prezydenckich „koszulek wolności” miejscem produkcji mógł być choćby Bangladesz. Z kolei Ministerstwo Obrony zamierza zatrzymać

wroga u naszych granic za pomocą tony krówek mlecznych, na które wydano ok. 14 tys. zł.

Ministerstwo Obrony zamierza zatrzymać wroga u naszych granic za pomocą tony krówek mlecznych, na które wydano ok. 14 tys. zł

Tu dodam, że krówki mleczne cieszą się – i słusznie – urzędniczą popularnością od lat. Gdy kilka lat temu gościł na Przystanku Woodstock śp. Janusz Kochanowski, ówczesny szef Najwyższej Izby Kontroli, ludzie z jego otoczenia zainstalowani w dużym namiocie promocyjnym dokarmiali anarchistów kilogramami krówek w barwach NIK. Nie wiem niestety, ilu anarchistów rzeczzone krówki przerobiły na praworządnych obywateli płacących podatki wydawane później znów na krówki, którymi można by karmić kolejnych anarchistów...

Nie ma sensu traktować wydatków na marketing jako zło samo w sobie. Nowoczesne biurokracje muszą odnajdywać się także we współczesnej kulturze masowej ściśle powiązanej z polityką, informacją i propagandą. Rzecz jednak w efektywności i transparentności wydatkowanych środków. I tu, jak w miniaturze, widać problemy rodzimej sfery publicznej.

Złoty strzał od EBC



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

Profesor ekonomii, publicysta,
rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula

Strategia Europejskiego Banku Centralnego przypomina dawanie narkomanowi coraz większej liczby używek. Zamiast się znieczulać, warto pójść na bolesną i trudną kurację odwykową. Zanim będzie za późno.

Europejski Bank Centralny próbuje od jakiegoś czasu reanimować niemrawą gospodarkę starego kontynentu. Jego leki nie działają, mają wręcz efekt odwrotny do zamierzonego. On jednak wciąż twardo zwiększa dawki.

Stopy procentowe zostały np. już dawno obcięte niemal do zera. Ostatnio tzw. stopa depozytowa osiągnęła zaś poziom ujemny. Oznacza to, że bankom nie opłaca się już lokować środków w banku centralnym, gdyż musiałyby z tego tytułu płacić „karne odsetki”. To rozwiązanie, którego dotąd nikt na taką skalę nie próbował. Wszystko w nadziei na pobudzenie akcji kredytowej.

Rozruszać gospodarkę UE miało też bilion euro pożyczki dla banków komercyjnych. Efekty w obu przypadkach są jednak żadne. Inflacja jest nadal niska, a gospodarka strefy euro znajduje się w stagnacji, co sprawia, że zobowiązania rozpaczliwie zadłużonych rządów i instytucji finansowych są nadal równie wysokie. Niskie stopy nie pobudzają akcji kredytowej, bo już zadłużeni boją się nowych

kredytów. Jeśli zaś euro się jeszcze trochę umocni i dojdzie do deflacji, to stare długi zaczną rosnać jeszcze szybciej.

Tymczasem banki w strefie euro to dziś de facto bankruci. Bez zmiany strategii niedługo może dojść do paniki, już pojawiają się np. ostrzeżenia, że na wielu rynkach narastają bańki spekulacyjne.

Oczywiście kiedy oprocentowanie kredytu ustalone przez EBC wynosi blisko zero procent, to znaczy, że bankom wciąż opłaca się zaciągać kredyty w EBC, po to żeby kupować oprocentowane np. na 3 proc. obligacje najbardziej zadłużonych krajów strefy euro. W realnej gospodarce nic się jednak na lepsze nie zmienia, a rachityczny wzrost potęguje problem nadmiernych długów.

Strategia EBC przypomina dawanie narkomanowi coraz większej liczby używek. Zamiast się znieczulać, warto by raczej pójść na bolesną i trudną kurację odwykową, zanim będzie za późno i wszystko się zawali. Aby wyjść z obecnej sytuacji, powinniśmy uruchomić w miarę bezpieczne mechanizmy kontrolowanego

oddłużania się. Stworzyć sytuację, w której banki nie będą zwiększać akcji kredytowej, i gospodarka stopniowo się zregeneruje. To oczywiście będzie niesłychanie boleć. Spowoduje rok czy dwa spowolnienia, może nawet recesji, ale na dłuższą metę uzdrowi sytuację. Po pewnym czasie normalność powróci, bo firmy, które się oddłużą, zaczną znacznie sprawniej funkcjonować.

Na pewnych rynkach będzie też musiało dojść do kontrolowanych upadłości. Dług Hiszpanii właśnie przekracza 100 proc. PKB. Z takim wzrostem gospodarczym, jaki Hiszpania ma obecnie, nie jest ona w stanie spłacić swoich zobowiązań i raczej nigdy nie będzie. Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Długów, z którymi obec-

**Bez zmiany strategii
niedługo może dojść do
paniki, bo na wielu rynkach
narastają potężne bańki
spekulacyjne**

nie mamy do czynienia w Europie i w całej światowej gospodarce, nie da się już utopić w wysokiej inflacji. Pozostaje tylko bolesna kuracja odwykowa, czyli oddłużanie, także za pomocą kontrolowanego bankructwa krajów i banków, tak jak już stało się w Grecji i na Cyprze. Kolejne odcinki tej sagi jeszcze przed nami.

Polska gospodarka łaknie kapitału

Z dr. Cezarym Mechem
rozmawia Stefan Sękowski



CEZARY MECH

Ekonomista, urzędnik państwowy,
nauczyciel akademicki, były wiceminister finansów

Nie ma adekwatnego kredytowania przedsięwzięć dążących do budowy miejsc pracy w kraju. A KNF koncentruje się za bardzo na zyskowności banków, utożsamiając ją z bezpieczeństwem instytucji finansowych.

Czy w Polsce łatwo jest o kredyt?

Statystyki mówią, że dostęp do niego jest utrudniony, przynajmniej jeśli chodzi o liczbę odrzucanych wniosków kredytowych i poziom lichwiarskiego oprocentowania kredytu dostępnego w firmach pożyczkowych.

To polski ewenement?

Rynek kapitałowy w Polsce jest dość drogi w porównaniu ze standardami krajów wysoko rozwiniętych. Koszty transakcyjne instytucji finansowych na rynku kapitałowym są wyższe. Zyskowność też jest wyższa niż za granicą i to musi przekładać się na koszty, jakie ponoszą kredytobiorcy, oraz na to, że depozytariusze nie otrzymują adekwatnego oprocentowania. Brak konkurencji i polityki antylichwiarskiej pozwalają funkcjonować na rynku firmom, których zadaniem jest wpędzenie pożyczkobiorców w problemy ze spłatą kredytów,

po to aby w efekcie pozbawić ich całości dobrobytu w procesie egzekucyjnym. Ponadto kredyty udziela się głównie na konsumpcję, raptem 26 proc. kredytów udzielanych jest przedsiębiorstwom. W ostatnich 10 latach mimo że stopa oszczędności wzrosła, kredytowanie przedsiębiorstw w relacji do PKB jest na tym samym poziomie.

Dlaczego tak się dzieje?

Wynika to głównie z fatalnych regulacji i braku nadzoru oraz z prowadzenia złej polityki pieniężnej. Mamy wyższe stopy procentowe niż inne kraje przy utrzymaniu kursu wymiany. To zachęca do masowej spekulacji na naszej walucie, o czym świadczy powszechność kredytów frankowych. Olbrzymim funduszom zagranicznym opłaca się pożyczać na niski procent w dolarach i euro, które potem mogą inwestować w wysoko oprocentowane polskie obligacje, a na końcu osiągnąć

nać nadzwyczajne zyski – zwłaszcza jeśli złotówka ulegnie wzmocnieniu. Ten proces spekulacyjny można łatwo uniemożliwić, ale się tego nie robi niezależnie od opcji politycznej, która sprawuje władzę. Polityka wysokich stóp procentowych blokuje też inwestycje, które by się opłacały, ponieważ w takiej sytuacji zysk rządziej jest wyższy niż koszty kapitału oparte na stopach procentowych.

**W kraju bez przyszłości,
jakim staje się Polska,
przewiduje się brak wzrostu
gospodarczego
i zapotrzebowania na
produkty w przyszłości,
a w efekcie i mniejsze zyski
dla przedsiębiorców**

Uważa pan, że obniżka stóp procentowych pozwoliłaby polskiej gospodarce się rozwinąć? Przecież w państwach zachodnich stopy procentowe są bliskie zera, pojawiają się nawet pomysły, by wprowadzić ujemne stopy, bo dotychczasowa polityka monetarna nie miała wpływu na wzrost.

Brak efektów walki z kryzysem i on sam wynika ze złego funkcjonowania instytucji finansowych i oligarchizacji życia społecznego. Tamte stopy procentowe obecnie są w części elementem polityki, mają m.in. pomóc tym, którzy mają olbrzymie kredyty do spłacenia, by wysokie odsetki nie doprowadziły ich do bankructwa.

Oczywiście głównym wytłumaczeniem jest to, że w innym wypadku masowe bankructwa jak podczas wielkiego kryzysu doprowadziłyby do zaostrzenia kryzysu. W Polsce mamy do czynienia z inną skrajnością – błędną praktyką zwalczania inflacji przez wysokie stopy procentowe i wzmacnianie waluty. Każdy projekt inwestycyjny ocenia się z punktu widzenia przyszłych zysków. Te zyski są dyskontowane przez koszt kapitału. W koszcie kapitału kluczowym elementem są stopy procentowe. Gdy są wysokie, bardziej opłaca się inwestować w obligacje.

Ale przecież w Polsce inwestorzy mają bardzo dobre warunki do inwestowania w realną gospodarkę.

Tak powinno być, bo u nas są niższe koszty pracy, mamy niższe wynagrodzenia. Problem w tym, że będąc w UE, natrafiamy na wiele przeszkód regulacyjnych, w tym tak ekstremalne absurdy jak dążenie do oziębienia klimatu, w których efekcie państwowo wysoko rozwiniętym udaje się zachować miejsca pracy i importować siłę roboczą. W Niemczech w najbliższych latach z pracy odejdzie 6 mln pracowników. Zastąpią ich Polacy i inni emigranci. W konsekwencji w kraju bez przyszłości, jakim staje się Polska, przewiduje się brak wzrostu gospodarczego i zapotrzebowania na produkty w przyszłości, a co za tym idzie i mniejsze zyski dla przedsiębiorców. To także utracą nowe inwestycje.

Jak wygląda sytuacja z alternatywnymi wobec banków komercyjnych sektorami mogącymi zaspokoić głód kredytu?

Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe są bardzo dobrym przykładem

na to, że sektor bankowy sobie z tym nie radzi. Gdyby sobie radził, sektor SKOK tak prężnie by się nie rozwinął. Niestety silne zmiany regulacji prawnych, które powodują, że drobny, działający na innych zasadach sektor, poddawany jest regulacjom i wymogom biurokratycznym, odpowiednim dla regulacji wielkich banków, doprowadziły do paradoksalnej sytuacji. Małe kasy nie mogą konkurować kosztowo z innymi instytucjami, z drugiej strony gdy się rozwiną, by dzięki efektowi skali zniwelować problemy związane z wysokimi kosztami stałymi, zarzuca się im, że mają słaby kontakt ze swoimi członkami, co jest nietypowe dla tego sektora. Byłem zwolennikiem objęcia SKOK nadzorem finansowym, niemniej ten nadzór musi się opierać na zasadzie współmierności: mniejsze podmioty powinny być traktowane adekwatnie do ich wielkości.

Obecnie są traktowane nieadekwatnie?

Wobec małych kas, które nie mają wystarczającego efektu skali, dąży się do tego, aby wymogi regulacyjne były jednakowe jak w przypadku dużych banków. W tym wymaga się rozbudowanych regulacji dotyczących badania ryzyka. To może być wymóg nadmierny, gdy kasy mają charakter społeczny i wiedzą o możliwościach finansowych swoich członków lepiej niż oddziały banków. W konsekwencji nadmiernych barier na wejściu nie powstają nowe kasy i dochodzi do koncentracji rynku. To wszystko sprzyja temu, by warunki usług finansowych były dla wszystkich mniej korzystne.

Ale czy to tylko wina prawa? Cztery SKOK mają już zarząd komisaryczny, KNF wskazuje na to, że kasy udzielają

zbyt wielu ryzykownych kredytów. Może po prostu idea jest dobra, ale wykonanie – już nie?

Z jednej strony Nadzór krytykuje nadmierne ryzyko, z drugiej stosowanie różnych wspólnych inicjatyw kas i outsourcing, które miałyby ograniczyć koszty, co powoduje, że koszty mitygowania ryzyka muszą one ponosić same. Ustawodawca powinien zadbać o to, by na rynek mogły wchodzić nowe inicjatywy. Nawet jeśli na początku jest więcej niepowodzeń. Samo ryzyko pojawienia się nowej konkurencji powoduje, że banki mitygują się w swoich apetytach cenowych.

Był pan jednym z twórców Komisji Nadzoru Finansowego – tymczasem słyszę, że jest pan wobec działań KNF mocno krytyczny...

Nie podobają mi się działania KNF, mimo że byłem jego pomysłodawcą i współtwórcą. Nie wynika z to z jego uprawnień, lecz kryzysogennych uwarunkowań, o których rozmawialiśmy poprzednio. Otóż mimo iż cała grupa nadzorców, która straciła pracę w okresie rządów lewicy, tworząc zwycięski program gospodarczy dla PiS, przeforsowała utworzenie KNF przy sprzeciwie sektora, to władze PiS oddały nadzór swoim przeciwnikom. Nikt z jego twórców tam nie pracuje, co ukazuje, jak trudno było i będzie przeprowadzić w Polsce sanację gospodarki. W efekcie nadzór nawet nie informuje opinii publicznej o tym, że istnieją nadmiernie wysokie koszty kredytowe, że nie ma adekwatnego kredytowania przedsięwzięć dających do budowy miejsc pracy w kraju. KNF koncentruje się za bardzo na zyskowności banków, utożsamiając ją z bezpieczeństwem funkcjonowania instytucji

finansowych. Tak jak w przeszłości nie reagował w przypadku Amber Gold, tak obecnie udaje, że nie widzi, jak cały system firm pożyczkowych pasożytuje na społeczeństwie. Nie zapobiega też koncentracji na rynku bankowym, pozwalając na fuzje i wycofywanie kapitału z Polski.

KNF powinien mieć mniejsze uprawnienia?

Nie powinno się zmniejszać uprawnień KNF, gdyż za chwilę okaże się, że podatnicy będą musieli pokrywać straty banków. Powstanie KNF było wielkim sukcesem, który nastąpił mimo protestów Związku Banków Polskich – i to był chyba jedyny przypadek przeprowadzenia zmian wbrew

tej najpotężniejszej w Polsce firmie lobbingowej. Aby gospodarka działała prawidłowo, także instytucje finansowe muszą działać prawidłowo w oparciu o siły rynkowe. Przyczyną kryzysu, który ciągle przechodzimy, był źle funkcjonujący sektor finansowy. W Polsce wiedząc o zagrożeniach, stworzyliśmy silną instytucję, która w założeniach miała nie być powiązana z tym sektorem. O ile utworzenie instytucji się udało, to jednak jeszcze raz się przekonał, że instytucje same nie funkcjonują, potrzebują oddanych ludzi. W Polsce jest multum kompetentnych patriotów, bez ich wykorzystania do odbudowy kraju znikniemy jako państwo i społeczeństwo. I to jest podstawowa nauka, jaką powinniśmy wynieść z kryzysu na przyszłość.



STEFAN SĘKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Dwudziestu Trzech Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny

Pozostali Darczyńcy:

Trzydziestu Dziewięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

Redaktor prowadzący: Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa: Michał Kuź

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa